

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Ten trzeci.

Nie tak dawno na szpaltach naszego pisma zabierał głos p. Bochan w obronie praw mniejszości rosyjskiej, domagając się jedynie uznania zamieszkałych w państwie polskim Rosjan za mniejszość narodową, a i ten postulat został zakwestjonowany przez przedstawiciela białoruskiej myśli politycznej, utrzymującego, że poza czasową emigracją niema u nas prawie wcale ludności rosyjskiej, gdy oto zjazd rosyjski, który się świeżo odbył we Lwowie z udziałem 350 delegatów, nie tylko zapoczątkował organizację mniejszości rosyjskiej w ramach „Rosyjskiego zjednoczenia narodowego”, lecz nawet powziął szereg uchwał, daleko odbiegających od skromnych dezzyderatów p. Bochana i zdradzających wcale niezgorsze apetyty i niedwuznaczne zakusy niepoprawnych bankrutów politycznych.

Wystarczy wskazać na figurującą na drugim miejscu rezolucję, która powiada ni mniej ni więcej co następuje: „Przy realizacji swych celów i zadań R. Z. N., wychodząc z niewzruszonego założenia *narodowej i kulturalnej jedności wszystkich plemion ruskich* — będzie dążyło do faktycznego urzeczywistnienia w życiu zasady pełnego równouprawnienia zarówno dla ogółu ludności rosyjskiej, jak dla każdego Rosjanina w szczególności...”. Inna uchwała domaga się zamiany w urzędowej nomenklaturze terminów „Rosjanin, rosyjski” bardziej rozciągłymi: „Rusin, ruski”. A gdy się zestawia powyższe uchwały z inną znów, orzekającą, że ludność rosyjska w państwie polskim składa się głównie z mas pracujących: włościan i robotników, które jeden z mówców oblicza na 1 $\frac{1}{2}$ miliona, to tendencje organizatorów i uczestników zjazdu nie mogą budzić żadnej wątpliwości.

Takie żądania, jak utworzenia przy uniwersytetach wileńskim i lwowskim osobnych katedr języka

rosyjskiego, literatury i historii, udzielenia ludności rosyjskiej prawa posługiwania się własnym językiem ustnie i na piśmie w sądach i urzędach, przyznania ludności rosyjskiej decydującego głosu w sprawach *jej* wyznania i *jej* cerkwi i t. p. świadczą aż nadto wymownie, że mniejszość rosyjska nie tylko domaga się równouprawnienia oraz możliwości swobodnego rozwoju kulturalnego, ale rości nawet pretensję do stanowiska uprzywilejowanego, przynajmniej w stosunku do innych mniejszości narodowych.

Jeszcze bardziej charakterystyczne były przemówienia poszczególnych delegatów.

Huczne oklaski całego zjazdu wywołał ten punkt odezwy programowej, przedstawionej przez niejakiego p. Kisłowskiego z Polesia, który zawiera oświadczenie, że „podział ruskiej ludności zamieszkałej w województwach wschodnich na Ukraińców, Białorusinów, Rosjan, Rusinów i Poleszuków, usprawiedliwiony z punktu widzenia etnograficznego, nie powinien godzić w narodową jedność tych grup!”. Inny delegat, p. Moller, występując w imieniu ludności wiejskiej Nowogródzkiego uzalał się, że w całym tem województwie niema ani jednej szkoły rosyjskiej. Najjaskrawsze zaś były wystąpienia biorących liczny udział w zjeździe galicyjskich moskalofilów, zapewniających z całym przekonaniem i pewnością siebie, że Lwów był i pozostanie odwiecznie rosyjskiem miastem... Maluczko, a posłyszemy znów zapomniane już a tak dobrze znajome nam dźwięki z minionej, zdawałoby się, bezpowrotnie przeszłości: „iskoni ruskij gorod Wilna“, „Siewiero-Zapadnyj Kraj” i t.p.

Prasa polska, z nielicznymi wyjątkami, nie zwróciła dostatecznej uwagi na zjazd i zapoczątkowaną przezeń akcję, natomiast mocno zaniepokoiły się tą wszechrosyjską manifestacją organy ukraińskie. Lwowskie „Diło” wyraziło nawet przypuszczenie, że pomiędzy Moskwą a Warszawą istnieje milczące porozumienie, skierowane przeciwko Ukraińcom. Oczy-

wiście organ UNDO sam nie wierzy w możliwość takiej kombinacji, wszakże jego oskarżenia pod adresem polskich czynników miarodajnych o sympatję względem moskalofilstwa nie są pozbawione słuszności.

Nie tylko endecja, zdecydowana zwolenniczka orientacji rusofilskiej, ale i szeroki ogół bezpartyjnej inteligencji polskiej, usposobiony przeważnie prawicowo, złożony z urzędników, sędziów, nauczycielstwa, kupców, przemysłowców, adwokatów, lekarzy i t. d. o ile traktują niechętnie i pogardliwie „hajdamaków” ukraińskich i „hadów” białoruskich, o tyle odnoszą się z respektem a nieraz może i z ukrytym sentymentem do przedstawicieli „wielkiego słowiańskiego narodu”, nawet reprezentujących dawną czarną sotnię. Ostatecznie niema w tem nic dziwnego, bo mimo upadku potęgi państwowej rosyjskiej, pozostała bogata kultura, z której skarbnicy niejednen z owego przeciętnego ogółu — zwłaszcza u nas — swego czasu obficie czerpał i która dotąd nie utraciła swej siły przyciągającej. A młode ruchy białoruski i ukraiński, o wybitnie radykalnem zabarwieniu, ze szczupłym i jednostronnym dorobkiem kulturalnym jakież mogą budzić zainteresowanie wśród wychowanej na Sienkiewiczowskiej iub wyrafinowanej, modernistycznej literaturze zfilistrzałej inteligencji polskiej?

Co można jednakże wybaczyć przeciętnemu czytelnikowi „Warszawianki” i „Rzeczypospolitej”, to jest niedopuszczalne dla polityka lub administratora. Ta kategoria powinna rozumieć dobrze szkodliwość takiej krótkowzrocznej taktyki i powinna umieć podporządkować swe upodobania i sympatje osobiste względem politycznym. Tymczasem nasze władze, zwłaszcza prowincjonalne, najczęściej faworyzują element rosyjski w porównaniu z białoruskim i ukraińskim. Język rosyjski z reguły jest chętniej widziany i tolerowany, przynajmniej u nas, niż białoruski i szkoła rosyjska napotyka mniej przeszkód niż białoruska.

W tem nierównem traktowaniu olbrzymiej większości ludności miejscowej oraz drobnej mniejszości narodowej odegrywają nie małą rolę i motywy natury społecznej, gdyż naturalna i urojona obawa przed bolszewizmem przesłania nieaktualne, w danej chwili i jeszcze zapewne przez czas dłuższy, niebezpieczeństwo wszechrosyjskie.

A jednak ono istnieje i jak tego dowodzi zjazd lwowski bynajmniej jego lekceważyć nie należy. Wobec dotychczasowej polityki rządów polskich, uznającej Kościół katolicki u nas za wyłączną domenę wpływów polskich, a Cerkiew prawosławną za wyłączną domenę wpływów rosyjskich, rusyfikacja Białorusi prawosławnej, Polesia i Wołynia będzie czyniła postępy i kto wie, czy po pewnym czasie panowie Kisłowski i Mollerowie traktowani dziś z ironicznym pobłażaniem, gdy występują jako reprezentanci włościańskiej ludności białoruskiej, nie zasiądą w Sejmie,

już jako uprawnieni przedstawiciele „odwiecznie rosyjskich ziem”.

Przebieg zjazdu lwowskiego wskazuje, że mniejszość rosyjska, dotąd rozproszona i marząca jedynie, jak p. Bochan się wyraził, o wyjściu ze stanu nicości, szybko się organizuje i konsoliduje a jednocześnie z obronnej pozycji przechodzi do śmiałej ofensywy.

Panowie ex-rusyfikatorzy, jak widać, niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli!

Znaczenie rządów biskupa Matulewicza w Wilnie.

Gdy ententa i zblokowane państwa Mitteleuropcy wymieniały w r. 1918 na pobojuwiskach Flandrii ostatnie strzały, dla kraju naszego rychło miała nadejść niemniej ważna chwila. Wówczas to zasiadł, z woli papieża Benedykta XV, na starej stolicy biskupów wileńskich, świeżo zmarły w Kownie arcybiskup tytularny Jerzy Matulewicz.

Nielatwo wyobraźnia przedstawi sobie warunki dla rządów biskupich bardziej trudne, niż te, wśród których bez mała siedem lat żył i pracował w Wilnie zmarły Arcypasterz. Złość i mściwość endecji napędzającymi swymi wyprzedziła sam ingres biskupi, nie uspokoiła się bodaj na chwilę podczas rządów biskupich w Wilnie, wybuchnęła jeszcze raz po rezygnacji biskupa. Jeśli dziś w obliczu śmierci przycichła, to nie po to, by ustąpić miejsca sądowi rzeczowemu. Endecja się postara, by przynajmniej w jej drukach, przeszedł biskup Matulewicz do historii, jako czarny charakter, płoszący swą potwornością sen z powiek naiwnego obywatela wileńskiego.

Zaciekłość walki endeków z biskupem Matulewiczem da się porównać *tylko* z kampanją oszczercą, prowadzoną przez endecję przeciw marsz. Piłsudskiemu. To porównanie mówi samo przez się.

Biskup Matulewicz, przykuty do katedry wileńskiej mocą swego przeświadczenia o potrzebie trwania na wyjątkowo trudnym posterunku, stał się *przez zasady*, które mężnie wyznawał i za które tyle wycierpiał, reprezentatywną u nas jednostką Kościoła Powszechnego. Prześladowania, znoszone przezeń za głoszenie czystej doktryny katolickiej, która przez swą opiekuńczą moc nad słabszymi, *stara się raczej pomnożyć liczbę narodów* niż ją pomniejszyć, uczyniły biskupa Matulewicza znanym też szeroko poza krajem i Rzeczpospolitą Polską. Pod koniec jego rządów w Wilnie, nazwisko biskupa już było wymieniane wcale szeroko zagranicą. Wszędzie gdzie *catholicitas* nie jest czczym wyrazem, jak wśród olbrzymiej większości katolików polskich, wszędzie gdzie po wojnie żywe były dążenia do zbratania się ludów katolickich na podstawie *równości*, z szacunkiem wymawiano to nazwisko. Owszem katolicy innych krajów zaczęli wtedy właśnie więcej się interesować sprawami Kościoła w diecezji wileńskiej, mającej tak pstre narodowościowo zaludnienie. Jeśli tak było zagranicą, to cóż mówić o czci, jaką darzono biskupa wśród Ukraińców greko-katolików, wśród Niemców na kresach zachodnich Rzeczypospolitej... jako też wśród diaspory białoruskiej i ukraińskiej w Ameryce i gdzieindziej.. Był to bowiem biskup nie jakiegoś narodu

tylko, lecz najprawdziwszy, jaki być może, *Episcopus Ecclesiae Universalis*.

Więc to ujęcie godności biskupiej przez nieboszczyka było pierwszą przyczyną, dlaczego mówimy o znaczeniu jego rządów w Wilnie.

Drugą tegoż przyczyną było, że biskup Matulewicz po raz pierwszy w Wilnie zaczął podkreślać, że jesteśmy i być powinniśmy wyznawcami nie polskiej (*sic!*) wiary, lecz katolickiej. Coś niecoś zrobił już w tym kierunku w swoim czasie biskup Ropp, ale te zapoczątkowania endecja na wszelki sposób starała się zagłuszyć, w czym zresztą pomocne były i rządy bezpośrednich następców b-pa Roppa w Wilnie. Biskup Matulewicz był jednak człowiekiem zbyt światłym, wykształconym i uczciwym, znającym przytem z dłuższego pobytu obie półkole, by mógł udzielić swego błogosławieństwa pasterskiego... dogadzaniu przez Kościół zaborczym instynktom nacjonalizmu. Wobec mało skutecznej jeszcze dla polszczenia naszych ziem akcji kulturalno-oświatowej, endecja *całą* niemal nadzieję pokładała u nas i pokłada dziś w tem, że Kościół przez ambonę, konfesjonał i t. d. walnie jej w tem dopomoże. Łatwo tedy zrozumiemy całą pasję, jaka ogarnia endecję, ile razy widzi u nas możliwość wymknięcia się Kościoła z pod swych wpływów.

Dalej biskup Matulewicz przez czas swych prawie siedmioletnich rządów w Wilnie wiernie stał na straży zasady równouprawnienia. Nie uznawał on panowania jednych nad drugimi ani w imię liczebności, ani w imię pięści uzbrojonej, ani w imię przedawnionych już tradycji, ani w imię szlacheckiego urodzenia, lub w imię podmiotowej estetyki nie znoszącej dźwięków jakiegś mowy... Rzecz jasna, że endecja, w której nacjonalistycznych hasłach odżył dziś szlachecki feudalizm, zwalczała całą siłą biskupa, podcinającą jej wszelką możliwość istnienia na terenie kościelnym.

Nawskroś demokratyczny u biskupa Matulewicza sposób myślenia, czucia i postępowania nakazywał mu trzymać nie z możnymi tego świata, lecz z malczykami. Wiedział biskup dobrze, że silni potrafią się obronić bez jego pomocy i nie potrzebują opieki Kościoła w takim stopniu, jak słabsi. Zresztą jest to zwykły nakaz logiki i statystyki. Tem mocniej trzymał się zajętego stanowiska, że był fachowym socjologiem, łączącym nawyk harmonizowania przesłanek naukowych z wyczuwanymi tendencjami rozwojowymi naszego kraju. Oczywiście bp. Matulewicz, posiadając takie przygotowanie teoretyczne i doświadczenie praktyczne, nabyte w pracy społecznej w rdzennej Polsce, musiał gorąco pragnąć zainicjowania szerokiej akcji chrześcijańsko-społecznej w swej diecezji. Niestety nie znalazł jednak u nas, jak się sam wyrażał, ludzi odpowiednich. „Niema z kim nawet mówić o tem”. Polak, Litwin, Białorusin, zabierając się do takiej akcji, myślał w Wilnie głównie o tem, jakby ubić z niej zaraz i razem kapitał polityczny dla swojej tylko narodowości. Nie było prawie nikogo, ktoby myślał na serjo o „pożytkach ogólnych” społecznej akcji chrześcijańskiej, jako takiej. Czy trzeba mającemu oczy i uszy dowodzić, że nie była nią taka Liga Robotnicza św. Kazimierza, założona wprawdzie szczerze katolicką ręką ks. Fr. Muckermana, lecz rychło potem doszczętnie wykoszlawiona przez naszych demagogów? Nie lepszego od niej ducha była i jest Centrala Chrześcijańskich Związków Zawodowych w Wilnie, kierowana z zapoznaniem rudymentów programu społecznego Leo-

na XIII. Tylko znaczna odległość od Rzymu i zgoła niedostateczne informowanie go przez czynniki miarodajne mogły sprzyjać wytworzeniu się u nas w tej dziedzinie takich stosunków.

Biskup Matulewicz był rzecznikiem tej słusznej zasady, że mniejszość litewska i większość białoruska w diecezji wileńskiej, mają wszelkie prawa nie do jakiegś tam z łaski polskiej tolerancji na swej własnej ziemi, lecz do pełni praw narodowych w kościele, szkole, sądzie, urzędzie, gminie... Nie co innego zapewnia im polska konstytucja. Gdy endecja w spadku po carskiej Rosji przyjęła stałą tendencję do podcinania „inorodcom” możliwości i rozwojowych na przyszłość, ograniczając ich bytowanie tylko do rozmiarów szczątkowych, bp. Matulewicz uznał prawa rozwojowe Litwinów, Białorusinów i Ukraińców bez *żadnych* zastrzeżeń, dobrze rozumiejąc, że niegodna to dla Kościoła rola gnębić słabszych i gasić zapalające się dla nich zorze lepszego jutra. Gabinet biskupi w Wilnie był dlatego nieraz świadkiem znamiennych na ten temat rozmów biskupa z ministrami, wojewodami, delegatami, kuratorami i in. wyższymi urzędnikami, probującymi pozyskać zwierzchnika diecezji dla mętej a nieszczerzej polityki rządowej względem mniejszości. Stojąc mocno na gruncie zasad katolickich, bp. Matulewicz grzecznie a stanowczo uchylał się od tego, na co mu katolicka sprawiedliwość i bezstronność nie pozwalała.

W ten oto sposób, dzięki nieubłaganej konsekwencji i iście żelaznej wytrwałości bp. Matulewicz stał się sztandarowym człowiekiem szczytnej idei równouprawnienia narodów i języków w Kościele katolickim:

Nazwisko jego dziś, gdy odszedł od nas, służyć będzie za program. *Każdy* biskup w Wilnie, pierwiej lub później, przekona się, że nic pozytywnego nie działa ku pokojowi w swej owczarni, jeśli nie wróci do linii postępowania bpa Matulewicza i nie potrafi do niej zachęcić kleru diecezjalnego. Wśród szczerych katolików pamięć bpa Matulewicza jest zapewniona, ale czy tylko wśród nich? Dużo niekatolików w Wilnie i poza nim z uwagą przyglądało się rządowi biskupa, zwalczanego przez endecję za kierowanie się zasadami *iustitiae distributivae*.

Na tem polega znaczenie nieprzemijające rządów biskupa Matulewicza w Wilnie.

P. Kantryba.

Dwa sądy.

Rewelacje „Głosu Prawdy” o posle na Sejm Sylwestrze Wojewódzkim wywołały na razie niezwykłą sensację bardzo prędko jednakże zaczęły budzić w umysłach krytycznych grube wątpliwości. Najcięższy zarzut, że poseł Wojewódzki jest płatnym agentem sowieckim okazał się na niczem nieoparty i sąd marszałkowski nie wziął go nawet pod rozwagę. Pozostałe zarzuty, poparte z trybuny sejmowej przez wice-premiera Bartla, że Wojewódzki uprawiał działalność prowokatorską, że dostarczał defenzywie poufnych informacyj o ruchu białoruskim, że będąc posłem jednocześnie był płatnym funkcjonariuszem II Oddziału Sztabu Generalnego kompromitując nie tylko oskarżonego, lecz jeszcze bardziej oskarżycieli.

Bo jakże? Sztab korzysta przez czas dłuższy z usług zakonspirowanego informatora, a po kilku latach rząd zdradza tę tajemnicę bez żadnej po-

trzeby, rozmyślnie i demonstracyjnie. Jedno z dwojga więc: albo rząd uważa tego rodzaju postępowanie ze strony działacza politycznego za nieetyczne i szkodliwe dla interesów państwowych, a w takim razie nasuwa się pytanie, czemu odrazu nie położył kresu tej demoralizacji, rezygnując z niewłaściwego współpracownictwa albo rząd w swej akcji przeciw Wojewódzkiemu kieruje się pobudkami, nie mającymi nic wspólnego z etyką i interesem państwowym, powodując się jedynie zemstą i chęcią utracenia niewygodnego obecnie, bo opozycyjnego polityka. I w jednym i w drugim wypadku rząd wystawia sobie niepoehlebne świadectwo.

Najdziwniejszą zaś w całej tej sprawie rzeczą jest niepraktykowana nigdy i nigdzie dotąd zamiana ról. Zwykle rząd jest zainteresowany w tem, aby jego skłonności do nieprzebiegania w środkach nie wychodziły na jaw, natomiast inicjatywę do podobnych rewelacji dają organizacje rewolucyjne i partje opozycyjne. Tu zaś się dzieje akurat naodwrot. Rząd dobrowolnie przyznaje się głośno, że korzystał z usług prowokatora, a jego towarzysze partyjni i szereg innych pokrewnych grup składają publiczne oświadczenie, że żywią doń zupełne zaufanie i do oskarżenia nie przywiązują żadnej wagii!

Wszystkie powyższe okoliczności czynią całą tę aferę niezrozumiałą i mocno podejrzaną. Sad Marszałkowski, trzeba mieć nadzieję, ustali bezstronnie wartość wysuniętych przeciw posłowi Wojewódzkiemu zarzutów, ale i dziś już dużo światła rzuca na wszczętą kampanję obszernie jego wyjaśnienie, zamieszczone w tygodniku „Nasza Wolność”. Oto co między innymi oświadczył zainteresowany przez redakcję tego pisma poseł Wojewódzki:

„Istota rzeczy polega na tem, że będąc członkiem klubu „Wyzwolenia” (które wówczas popierało rząd Sikorskiego) i będąc przesiąknięty metodami piłsudczyzny uważałem za swój obowiązek pomóc rządowi w orjentowaniu się w sprawie białoruskiej, tembardziej, że wierzyłem, iż pomoc moja przyspieszy zrozumienie federacyjno-demokratycznego programu, którego wówczas byłem gorącym wyznawcą. Poza osobistemi doppingami, wykonywanemi w stosunku do otoczenia partyjnego i premiera Sikorskiego — uważałem za słuszne za pośrednictwem starych kolegów piłsudczyków z sekcji narodowościowej II oddziału Sztabu Generalnego — wskazywać drogę koniecznego rozwoju stosunków polsko-białoruskich. Nie mogąc jednak sam (ze względu na nawal pracy partyjnej) pisać referatów w tych sprawach osobiście, podjąłem się (na prośbę tychże kolegów piłsudczyków) pośredniczenia w zdobyciu referentów, którzyby mogli mię zastąpić. Referentów takich znalazłem... Referaty przekazywałem sekcji narodowościowej II oddziału Sztabu Gen. Ten rodzaj mojej współpracy trwał do czasu, kiedy ewolucja moich poglądów (jak również wspomnianych referentów) doprowadziła do punktu, w którym uznaliśmy dalszą współpracę za niecelową i niemożliwą. Było to na początku 1924 r. Wówczas to zerwałem wszelkie stosunki i z piłsudczyzną i z sekcją narodowościową II oddziału Sztabu Gen. W listopadzie 1924 r. powstała N. P. Ch.”.

*

Z listu p. St. Świaniewicza, ogłoszonego w „Kurjerze Wileńskim” dowiedzieliśmy się, że on to był istotnym autorem owych referatów o ruchu białoruskim i że Wojewódzki jedynie pośredniczył w przesyłaniu ich sztabowi. Wskutek przyznania się p. Świa-

niewicza do tego autorstwa, część zarzutów, obciążających posła Wojewódzkiego spadła na osobę p. Świaniewicza, którego skore do lekkomyślnych posądzeń niektóre dzienniki warszawskie nazwały również agentem defenzywy. U wszystkich, kto zna p. Świaniewicza, jego nieskazitelny charakter i dotychczasową jego działalność publicystyczną, podobne insynuacje mogą wywołać tylko pogardliwe wzruszenie ramion, dla szerokiego jednak ogółu będzie miarodajnym orzeczenie Sądu Obywatelskiego, do którego p. Świaniewicz się zwrócił z prośbą o wydanie opinii o pobudkach i charakterze jego współpracownictwa z posłem Wojewódzkim.

K. W.

Z mego notatnika.

Przesada.

Brak umiaru, zdaje się, jest dominującą cechą naszego społeczeństwa. Gdy ktoś, z tych lub owych względów, nie cieszy się popularnością, to niema zarzutu, którego by mu oszczędzono, niema takiej plamy, którą by nań nie rzucono, niema takiej zbrodni, w którąby nie uwierzono, że ją popełnił albo przynajmniej, że popełnić ją jest zdolny.

Znów przeciwnie, gdy ktoś ma szczęście podobać się ogółowi, to już uchodzi za wzór wszelkich cnót, jest genjuszem, bohaterem, mężem opatrznościowym.

I nie trzeba bynajmniej zdobyć się na jakies czyny wyjątkowe, położyć niepospolite zasługi wobec społeczeństwa, by być otoczonym aureolą. Wystarczy być popularnym, a to znów nie jest rzeczą tak trudną. Przedewszystkiem trzeba nie posiadać wybitnej indywidualności, a pozatem nie mieć oczywiście rażących wad i ujemnych cech charakteru.

Takim człowiekiem niewątpliwie był ś. p. Kazimierz Wimbor. Wzorowy urzędnik, odznaczający się bezstronnością i taktem, obowiązkowy, piastujący swój urząd z godnością i poczuciem odpowiedzialności cieszył się zmarły przedwczesnie Komisarz Rządu na m. Wilno powszechnym szacunkiem i uznaniem. Było też rzeczą zupełnie naturalną, że po jego śmierci przyjaciele, których miał sporo, zakrzętnęli się żywo, by zapewnić osieroconej rodzinie, pozostalej zdaje się bez środków do życia, jakies trwalsze oparcie materialne i w tym celu utworzyli komitet, który znów za pomocą składek publicznych postanowił zgromadzić fundusz, wystarczający na zakup skromnego domku. Trudno również mieć coś przeciwko temu, że Rada Miejska pamiętając o dzieciach zmarłego uchwaliła wypłacać im stypendjum po 100 zł. miesięcznie. Ale te dowody wdzięczności ze strony społeczeństwa nie zadowolily zbyt gorliwych członków komitetu. Z inicjatywy p. Kruka, prezesa gminy żydowskiej, komitet zwrócił się do Rady Miejskiej z wnioskiem przewzania jednej z ulic Wilna imieniem zmarłego.

Można być pewnym, że Rada Miejska chętnie ten wniosek uchwali, bo nasi ojcowie miasta bardzo lubią w ten sposób upamiętniać nazwiska dygnitarzy, którzy krócej lub dłużej przebywali w ostatnich czasach w Wilnie. Mamy więc już ulice Piłsudskiego, Żeligowskiego, Rydza-Śmigłego, Beliny, Szeptyckiego, wyłącznie zresztą wojskowych, bo okres wojenny nie tak dawno się zakończył. Teraz w czasach pokojowych nastąpi serja cywilna, którą ma zapoczątkować

ulica Wimborora. Czy nie jest to jednak lojalizm za daleko posunięty?

Zwykle municypalność przezywając ulicę czyjś nazwiskiem współczesnym tą drogą czci pamięć obywateli, specjalnie zasłużonych dla miasta lub związanych z niem swem pochodzeniem, a sławą swą opróżniających rodzinne mury. Można jeszcze zrozumieć sentyment pewnej części ludności wileńskiej dla Piłsudskiego i Żeligowskiego, ale czem wytłumaczyć afekt do gen. Szeptyckiego? Co mu miasto zawdzięcza? Absolutnie nic

Nic również nie zawdzięcza Wilno ś. p. Wimborowi. Był dobrym administratorem i ludność nie miała powodu do narzekania na jego rządy. Tego stanowczo za mało, aby uwiecznić jego nazwisko. Cóż uczyni Rada Miejska, jeżeli wszyscy następni Komisarze Rządu również będą się wywiązywali bez zarzutu ze swych obowiązków? Wciąż będzie chrzcic i chrzcic coraz to nowe ulice? W końcu tego rodzaju odznaczenie spowszednieje bardziej, niż dzisiaj „Polonia Restituta”.

Chyba, że społeczeństwo wychodzi z założenia, iż sumienny urzędnik należy u nas do wyjątków i pragnie swoje przekonanie w tym względzie zamianować jaknajdobitniej?

Nie trzeba być antysemitą, by posądzić inicjatorów o taką właśnie złośliwą intencję...

Lasciate ogni speranza.

Korespondent warszawski „Diennika Wileńskiego” przysyłając telegraficzną relację o rozprawach sejmowych w kwestji wydania aresztowanych posłów białoruskich sądom, z goryczą zaznacza, że „z szeregu przemówień mniejszości narodowych przebijała niesłychana zawziętość, niemal nienawiść do państwa”.

Jeżeli uwaga ta nie jest oparta na zbyt subiektywnych wrażeniach sprawozdawcy, to powinna ona nasunąć publicystom i politykom polskim poważne refleksje.

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego jedna Polska znajduje się w tem wyjątkowym położeniu, że wszystkie bez wyjątku mniejszości narodowe czują do niej tak silną niechęć, nawet te, które marzyć nawet nie mogą o własnym niezależnym byciu państwowym?

Wszakże Polska nie jest pierwszym państwem o różnolitym składzie narodowościowym. Przed wojną istniały Rosja i monarchja Habsburska o jeszcze bardziej pstrem zabarwieniu etnicznym, niż Polska. I tam stosunek poszczególnych narodowości do wspólnej państwowości przedstawiał wiele do życzenia z punktu widzenia żywiołów panujących, jednakże nigdy nie przybierał on formy ostrej i nieprzejednanej walki.

W Rosji zwalczano carat, nienawidzono wszechwładną biurokrację, ale sama zasada państwowości rosyjskiej miała gorących zwolenników nawet wśród Polaków, stanowiących najbardziej separatystycznie usposobiony element. To też, gdy wybuchła wojna wszechświatowa, wszystkie narodowości, zamieszkujące imperjum rosyjskie (z wyjątkiem rzecz naturalna Niemców) wykazały tyle zapału i patriotyzmu państwowego, że nawet skrajna reakcja rosyjska była temi objawami zdziwiona i wzruszona.

Również w Austrii burzono się stale na przewagę żywiołów niemieckiego i węgierskiego, centralistyczne dążności Wiednia budziły powszechną niechęć, atakowano zawzięcie zmurszałe przeżytki absolutystycznego ustroju, lecz na ogół zasada współżycia licznych narodów pod berłem Habsburgów w tej

lub innej formie nie miała zdeklarowanych przeciwników, jeśli pominąć pewne odłamy polityczne wśród Polaków i Czechów. Wybuch wojny nie wywołał nigdzie w monarchji Naddunajskiej wrogich państwu odruchów i dopiero wskutek klęsk, a głównie wyzywającego zachowania się niemieckich władz wojskowych wynikł ferment i nastąpiło ostateczne rozprzężenie.

A jakby się zachowały mniejszości narodowe w Polsce w razie konfliktu jej zbrojnego z którymś z sąsiadów? Sądząc z nastrojów ludności i jej przedstawicieli w Sejmie mowy być nie może nie tylko o entuzjzmie, lecz niema żadnej pewności, czy obowiązek wobec państwa zostanie lojalnie wykonany i czy nie rozpocznie się wewnętrzna wroga kontrakcja.

Rosja gniotła i wynaradawiała swoich „inorodców” o wiele bezwzględniej, niż to czyni (wskutek warunków! nie braku chęci) obecnie Polska w stosunku do swych mniejszości narodowych, a jednak ani Białorusini ani Ukraińcy ani Litwini ani Żydzi nie pałali do Rosji taką nienawiścią, jak dziś do Polski? Skądże ta różnica? Nie omylimy się bodaj w diagnozie, jeśli powodów tego będziemy szukali nie tylko w dziedzinie politycznej, lecz i w tych *imponderabiliach*, jakie zawierają każda narodowość i jej kultura. Naród rosyjski, mimo długoletniego stanowego ustroju państwa, wytworzył kulturę o wiele demokratyczniejszą, niż naród polski, który dotychczas jest przesiąknięty tradycjami szlacheckimi, chociaż w Kongresówce od stu lat przeszło różnice stanowe zostały zniesione. Polska z Witosem na czele jeszcze jest bardziej pańska, niż Rosja, reprezentowana przez hr. Lwa Tołstoja i ks. Krapotkina. To jedno. A drugie: w Rosji rządziła prawica, lecz wierzone w radykalną poprawę sytuacji, gdy rządy ujmie lewica. W Polsce lewica pokazała już swe właściwe oblicze i nikt co do niej złudzeń żadnych nie żywi.

Lasciate ogni speranza—i stąd nieprzejednane stanowisko mniejszości narodowych.

Strach ma wielkie oczy.

P. M. Arcybaszew uczynił mi zaszczyt nielada, poświęciwszy cały feljeton w № 29 „Za Swobodu” mojej skromnej notatce w obronie filmu, odtwarzającego dzieje propagandy Hapona wśród robotników petersburskich.

P. Arcybaszew raczył zwrócić uwagę na tę notatkę, ponieważ argumenty, któremi się posługują „wielcy i mali panowie Licze” (nie wiem do której kategorii zalicza szanowny oponent niżej podpisane-go?) przerażają go swą lekkomyślnością i krótkowzrocznością.

„Tak właśnie rozumuje i replikuje krótkowzroczny tłum europejski, nie widzący zagrażającego życiu niebezpieczeństwa bolszewizmu, nie rozumiejący sposobów i celów bolszewików, niezdolny wnikać w sens i przyczyny zjawisk”.

No, no, jakaż z tych słów przebija pogarda dla „zgnitego Zachodu!” Tylko emigracja rosyjska widzi i rozumie niebezpieczeństwo komunizmu i dlatego ostrzega przed propagandą walki klasowej, która musi doprowadzić w końcu do katastrofy.

Z tą propozycją niech p. Arcybaszew zwróci się do P. P. S. i N. P. Ch. w Polsce oraz do odpowiednich stronnictw w innych państwach europejskich, my tu nic poradzić nie możemy, jesteśmy jednakże głęboko przekonani, że historia Hapona na ekranie

jest o wiele mniej skutecznym środkiem agitacyjnym niż bezrobocie, drożyzna i fiskalizm.

Ale nie nazbyt już naiwna recepta na niedomagania społeczno-ekonomiczne stanowi najciekawszy ustęp w wywodach p. Arcybaszewa. O wiele ciekawsze są jego wynurzenia na temat ewolucji, jakiej uległa inteligencja rosyjska (a my dodajmy i nasza również). Z całą szczerością przyznaje się p. Arcybaszew do radykalnej zmiany swych poglądów i ze skruchą wyznaje, że „w walce z caratem nie należało tak obficie wlewać jad nienawiści do ciemnej duszy ludu”.

Obecna filozofja życiowa p. Arcybaszewa sprawdza cię do nieskomplikowanej tezy: dynamit jest wyśmienitą rzeczą, kiedy trzeba rozsądzić skałę, przegradzającą drogę, ale jest straszym materiałem w ręku dzieci i warjatów.

Niewątpliwie. Ale czy p. Arcybaszew uważa, że należy zaniechać używania dynamitu przy robotach inżynierskich z obawy, że wśród robotników mogą się znaleźć niepoczytalne jednostki, które zrobią zeń niewłaściwy użytek? Oczywiście tak daleko swej ostrożności nie posunie i p. Arcybaszew. Otóż hasła wolności, równości i braterstwa, na które dziś p. Arcybaszew zapatruje się z wyraźnym sceptycyzmem są tym dynamitem, niezbędnym do rozsadzania Bastylii i Szlisselburgów, i w Rosji w r. 1905 spełniły one swe zadanie z pożytkiem. A że w kilkanaście lat później ten dynamit dostał się do rąk obłąkanych fanatyków, którzy zaczęli burzyć nie tylko skały, lecz drogi i mosty, to jest przypadek, nie-szczęście, fatalny zbieg okoliczności, lecz to nie powinno zmieniać zapatrywania na wartość materiału...

Inteligencja rosyjska zaś, (powtarzam i nasza również, jako mająca bezpośrednią styczność z ruchem bolszewickim), doświadczywszy na sobie skutków owych ekscesów, uległa tak głębokim przeobrażeniom duchowym, że gotowa pluć na swą przeszłość, na swe dawne przekonania, na swą działalność ideową, upatrując w niej przyczynę późniejszego kataklizmu. Nienawiść do bolszewizmu tak ją podnieca, że nie może spokojnie patrzeć nawet na obrazy, odtwarzające walkę rewolucyjną w r. 1905. Wszelkie przypomnienie rewolucji, barykad, strajków, pogromów drażni ją i szarpie jej chore nerwy.

Kto wie, czy to przeczulenie i histeryczna wprost wrażliwość nie są właśnie powodem jej słabości i niezdolności do czynu?

I ci wystraszeni, zdesperowani, rozczarowani i rozgoryczeni dekadenci polityczno-społeczni podejmują się prawienia moralów i dawania nauk nam, którzyśmy tu w Wilnie przeżyli dwukrotnie najazd bolszewicki i z własnego doświadczenia wiemy, że nie taki straszny djabeł, jak go malują. Nie trzeba tylko tracić panowania nad sobą i poddawać się panice...

Licz.

Rara avis.

Niezmiernie rzadko można dziś natrafić w piśmie polskim na artykuł, informujący bezstronnie i rzeczowo o Litwie i narodzie litewskim. Píše się wprawdzie o sprawach litewskich dużo, nawet za dużo, ale są to niemal wyłącznie elaboraty polityczne, tendencyjne i nudne utyskiwania wiecznie na ten sam temat: zaślepienia szowinistycznego polityków litewskich, katastrofalnego stanu państwa litew-

skiego i berlińsko-moskiewskich intryg. Każde niepowodzenie, każdy błąd, każda ujemna strona w życiu państwowem i narodowem litewskiem są podkreślane z upodobaniem i wyolbrzymiane do granic ostatecznych. Natomiast wszystko, co jest dodatniego i pozytywnego, wszystko, co naród litewski stworzył o własnych siłach, własnym trudem i mozolną pracą, wszystkie zdumiewające zdobycze kulturalne, osiągnięte w tak krótkim czasie, cały dorobek organizacyjny — wszystko to jest uporczywie pomijane milczeniem lub przedstawiane w świetle karykaturalnem.

Nawet sam kraj i lud litewski w interpretacji współczesnych, przygodnych najczęściej informatorów nabierają mocno niesympatycznego wyglądu na tle rzekomej ogólnej dewastacji, biedy i depresji duchowej.

Od tych niesmacznych elukubracji odbija korzystnie obszerny artykuł p. Władysława Wielhorskiego p. t. „Litwa” w popularnym miesięczniku warszawskim „Wiedza i Życie”. Autor usiłował utrzymać się przez cały czas narracji na gruncie obiektywnym, co mu należy poczytać za tem większą zasługę, że jako przymusowy emigrant miał dostateczne powody do popołgowania swemu rozdrażnieniu. Te i owe uwagi p. Wielhorskiego wymagałyby wprawdzie sprostowania, a jeszcze częściej rozwinięcia i uzupełnienia, ale na ogół całe studjum nacechowane jest znajomością rzeczy, życzliwością, przede wszystkim zaś szczerym sentymentem do ziemi i jej odwiecznych mieszkańców. Znać, że autor patrzy na Litwę oczami nie wyłącznie polityka i statysty, lecz również człowieka, zżytego z krajem, przywiązanego doń i umiejącego odczuwać piękno i urok stron ojczystych.

Warto posłuchać, jak p. Wielhorski wymownie je opisuje.

„Stefan Żeromski — czytamy — pisząc o Pomorzu, wyczuł w kraju tym nadmorskim smutek i uczynił z niego złego ducha tych ziem związanego z niemi przez stulecia.

„Litwa jest również nadmorskim zakątkiem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego i ma również swój smutek, właściwy ziemiom nadbałtyckim północnej Europy. Smutek Litwy przecież, w przeciwstawieniu do pomorskiego, złośliwym nie jest. Przeciwnie, jest w nim szlachetność głębi, prostoty, skupienia. Smutek Litwy, to symbol cichego cierpienia, żmudnej, zapobiegliwej pracy, symbol bezustannego przelamywania twardej doli.

„Tam, gdzie o piaski Połagi białe roztrąca się morze...” pisał Mickiewicz o Bałtyku. Otóż z fal Bałtyku, z jego dali, omglonej zlekka, zlewa się już na wybrzeża żmudzkie smutek swoisty.

„Płynie on i z białawych promieni słońca, przyćmionych oponą niedostrzegalnych chmurek na północnem niebie, które rzadko zakwita jędrną, ostrą barwą szafiru.

„Smutek rozesłał się po kobiercach pól i łąk litewskich o subtelnym kolorycie spłowiałych pastelii.

„Czai się on również w skupionych, ciemnych borach świerkowych Żmudzi, porośniętych brodami długich mchów, o wzorach cudnych, nieznanych już oczom mieszkańców krainy wiślanej, czy jakiejś innej, bardziej ku południowi wysuniętej.

„Smutek postrzega się wreszcie w oczach, ruchach i strojach ludu siermiężnego, odwiecznych mieszkańców tej ziemi, oraz w piosnkach jego przastarych, zwanych „dajnamii”.

A oto trafna charakterystyka ludu litewskiego:

„Litwin jest z natury ostrożny, nieufny, cierpliwy, rozstropny, przysłowiowo uparty. Ma poczucie sprawiedliwości i szacunek dla tych, co jej bronią. Siła woli, wytrwałość, dar organizacyjny — znajdują w nim zawsze uznanie. Ma dużo trzeźwości i wyczucia rzeczywistości. Frazes i demagogja w środowisku tem walor mieć mogą jedynie na krótką metę: nim fałsz ich nie zostanie przejrany. Upając się słowem Litwin nie umie. Jest to materiał ludzki do pracy organicznej, a nie do agitacji. Ma wrodzone poczucie godności ludzkiej, własnej i cudzej, a więc i autorytetu. Jest pobożny”...

I pozostałe informacje, ozdobione licznymi ilustracjami utrzymane są w takimże duchu życzliwej bezstronności. Nawet drażliwa kwestja polityczna stosunków polsko-litewskich potraktowana została spokojnie i bez uprzedzenia. Wytykając kierownikom polityki litewskiej niezrozumienie konieczności współpracy z Polską p. Wielhorski jednocześnie zaznacza, że ze strony polskiej popełniono w ostatnich latach wiele błędów, które utrudniły zbliżenie polsko-litewskie.

Nie można też odmówić słuszności końcowym słowom autora: „Przyjdzie chwila, w niedalekiej być może przyszłości dziejów, gdy oba narody srodze odpokutują za obecne swary. Niema za dużych wysiłków ze stron obu, by temu tragicznemu stanowi rzeczy kres położyć”.

Wielka szkoda, że pożyteczny artykuł p. Wielhorskiego stanowi zjawisko odosobnione we współczesnym piśmiennictwie polskim. a.

Przegląd prasy żydowskiej.

Jedną ze spraw oddawna już dojrzałych do pozytywnego załatwienia stanowi sprawa szkolnictwa żydowskiego. Ministerjum oświaty, w zakres działalności którego wchodzi żydowskie sprawy szkolne, przez usta stale się zmieniających ministrów tego resortu wciąż obdarza Żydów najrozmaitszemi obietnicami, które, niestety, nie są wykonywane. Nic też dziwnego, że gdy fotel ministra oświaty zostaje zajęty przez nowego kandydata w prasie żydowskiej rozlegają się wołania o unormowanie i uprawnienie szkolnictwa żydowskiego. Ma to miejsce i obecnie w związku z objęciem stanowiska ministra oświaty przez posła Dobruckiego, który różnym delegacjom żydowskim, zgłaszającym się doń po objęciu teki ministerjalnej, udzielił solennych przyrzeczeń, że poważnie zajmie się załatwieniem sprawy szkolnictwa żydowskiego w myśl postulatów społeczeństwa żydowskiego.

Na temat żydowskich spraw szkolnych zamieszcza wileński „Tog“ Nr. 31 z b. r. obszerny artykuł wybitnego żydowskiego działacza społecznego d-ra C. Szabada pod tytułem „Nie jesteśmy w stanie dłużej czekać”. Stosunek władz rządowych do szkolnictwa żydowskiego określa artykuł powyższy w następujący sposób:

„Rezultat prac wszystkich dotychczasowych ministrów oświaty jest dla nas jeden i ten sam. Szkoły żydowskie nie są uznane przez władze. W demokratycznej republice, gdzie nauka w szkołach powszechnych jest prawie przymusowa i we wszystkich szkołach polskich jest udzielana bezpłatnie, musi ludność żydowska,

muszą najbiedniejsze masy żydowskie, same na własny swój koszt utrzymywać całe swoje szkolnictwo i w ten sposób jest ta ludność obciążona podwójnymi podatkami”.

Nawiązując do przyrzeczeń p. ministra Dobruckiego pisze dr. Szabad dalej:

„Z wiadomości podanych przez gazety dowiadujemy się, że min. Dobrucki zastosuje do szkolnictwa żydowskiego te same zasady tolerancji co do zagadnień szkolnych wszystkich innych mniejszości narodowych. Jest dobrze, lecz... nie zupełnie. Takiej „tolerancji”, jaka jest stosowana naprzykład do szkolnictwa białoruskiego, my byśmy nie życzyli”.

W sprawie postawienia szkolnictwa żydowskiego na poziomie, wymaganym przez ministerjum pisze dr. Szabad:

„Nie żądamy żadnych przywilejów. Rozumiemy bardzo o dobrze konieczność pewnej unifikacji całego szkolnictwa w państwie. Przyznajemy, że szkolnictwo żydowskie musi się zastosować do programów i do wszystkich innych ogólnych zarządzeń ministerjalnych. Szkolnictwo żydowskie odróżnia się przecież od innych państwowych i mających prawo publiczności szkół tylko swym językiem wykładowym. Ale żądamy też praw, pełnych praw”.

Analogiczne wołania rozległy się z trybuny sejmowej w przemówieniu posła d-ra Wygodzkiego w dyskusji nad budżetem ministerjum oświaty. W sprawozdaniu z tego przemówienia, podanem w dzienniku wileńskim „Cajt“ (Nr. 324 z b. r.) między innymi, czytamy takie zdanie d-ra Wygodzkiego:

„Jeżeli staniemy na stanowisku, które cieszy się, niestety, w Polsce wielkim uznaniem, że panujący naród powinien ekonomicznie eksploatować mniejszości narodowe, a w dziedzinie kulturalnej ma on stosować politykę przymusowej asymilacji, — to musimy przyjść do wniosku, że ministerjum oświaty stało na odpowiedniej wysokości. Fakt ten się stwierdza najdokładniej, gdy się spojrzy na stan szkolnictwa żydowskiego”.

W zacytowanym wyżej artykule d-r Szabad wskazuje na to, że polityka szkolna musi być zastosowana do warunków miejscowych i nawiązując do polityki dotychczasowej, stosowanej przez ministerjum oświaty kończy swój artykuł następującem oświadczeniem:

„Niech mi p. minister wierzy, że środki, które może są obojętne dla Kongresówki i Galicji, są dla naszego kraju szkodliwe”. Ego.

KRONIKA.

Przedwczesny alarm. Dn. 5 b. m. bawił w Wilnie nowy minister oświaty dr. Dobrucki w towarzystwie dyrektora Departamentu wyznań religijnych p. Kaz. Okulicza. P. Minister zwiedził kilka zakładów naukowych, między innymi gimnazjum białoruskie i udzielił wywiadu współpracownikowi „Kurjera Wileńskiego”, w którym zapowiedział, że rząd otoczy opieką szkolnictwo białoruskie.

Ogólnikowa ta zapowiedź zaniepokoiła mocno redakcję „Dziennika Wileńskiego”, która z tego powodu zamieściła alarmujące artykuły, dowodząc, że ludność miejscowa nie odczuwa zupełnie potrzeby szkoły białoruskiej i że szerzenie oświaty białoruskiej będzie przez nią zrozumiane, jako „wyraz słabości polskiej, jako gotowość odstąpienia tych ziem Rosji Sowieckiej“ (?).

Zdeje się, że endecja uderzyła na alarm wczześnie, dotąd bowiem tylko mamy ze strony rządu obietnice i słowa, a czynów jeszcze nie widać. Chyba że się sprawdzą kursujące pogłoski o gruntownej reorganizacji składu osobistego Kuratorjum Wileńskiego.

Ab ovo. Z ramienia ministerjum oświaty utworzona została w Wilnie specjalna komisja, mająca na celu przejrzanie podręczników szkolnych białoruskich i wogóle rozpatrzenie

nie sprawy nauczania w szkołach białoruskich. Na czele komisji stanął wytrawny pedagog p. St. Lubicz-Majewski, dyrektor gimnazjum rządowego w Wilejce, pozatem wes li do niej p. Zygmunt Abramowicz, nauczyciel języka białoruskiego w wileńskim seminarjum białoruskiem oraz p. Łoziński, nauczyciel gimnazjalny z Nowogródka.

W trakcie swych prac Komisja natknęła się na pewne trudności i Kuratorjum wileńskie, chcąc się zapoznać z opinią osób kompetentnych, zaprosiło dość szerokie grono osób ze społeczeństwa polskiego i białoruskiego na konferencję wspólną z ową komisją. Niemal całe posiedzenie wypełniła dyskusja na temat, jakimi czcionkami mają być drukowane podręczniki białoruskie, łacińskimi czy grażdanką? Kwestja ta była już niejednokrotnie omawiana w prasie białoruskiej a ostatnio była przedmiotem gruntnych rozważań na zjeździe naukowym w Mińsku. Jak wiadomo nie brak zwolenników jednego i drugiego alfabetu, jeden i drugi więc mają równe prawo obywatelstwa. Wznowienie dyskusji na ten stary temat jest stratą czasu, ponieważ z góry można być przekonanym, że się nie dojdzie do jednomyślnego wniosku, rozprawy zaś akademickie nie posuną ani o krok naprzód sprawy szkolnictwa.

Ostateczny wyrok. Sąd Najwyższy zatwierdził wyrok Wileńskiego Sądu Okręgowego, skazujący ks. Godlewskiego na dwa lata twierdzy za jego patriotyczną działalność białoruską. Wobec tego ks. Godlewski został usunięty ze swego probostwa w Żodziszkach i będzie odsładywał karę w klasztorze grodzieńskim.

Degradacja. Znany działacz białoruski ks. W. Szutowicz, z rozkazu władzy archidiecezjalnej został przeniesiony z probostwa w Borodzieniczach (w pow. Dziśnieńskim) na wikarego do Lidy. W związku z tem „Biel. Krynica” zamieszcza artykuł, podnoszący zasługi ks. Szutowicza, jako kapłana i obywatela nie tylko dla sprawy białoruskiej, natomiast „Dziennik Wil.” usprawiedliwia zarządzenie Kurji, dopatrując się w działalności usuniętego proboszcza tak karygodnych czynów, jak zamiana w nabożeństwie s archy pieśni polskich, poezji Kochanowskiego, Kochowskiego i Karpińskiego „niedolężnymi tłumaczeniami” na język białoruski Zarzutów bardziej ważkich „Dziennik Wil.” nie przytacza, z czego należy wnioskować, że istotnie powody usunięcia ks. Szutowicza z Borodzienicz miały charakter polityczny.

Krwawa demonstracja. W związku z represjami w stosunku do „Hramady”, w Kosowie Poleskim odbyła się demonstracja przeciwrządowa, w której wzięło udział parę tysięcy okolicznych włościan. Tłum przybrał tak groźną postawę, że policja zmuszona była użyć broń, przyczem kilku demonstrantów zostało zabitych a sporo rannych.

Korespondent „Głosu Prawdy” podał wiadomość, że z pomocą policji pośpieszyli miejscowi strzelcy, którzy brali czynny udział w uśmierzaniu rozruchów. Z kół urzędowych wiadomości tej kategorycznie zaprzeczono, ale jeżeli korespondent nawet zmyślił ją, to chęci wystarczają za uczynek. Warto zanotować ten wysoce charakterystyczny dla organizacji strzelców w naszym kraju szczegół.

Również wysoce jest charakterystyczny komentarz quasi radykalnego „Głosu Prawdy” do relacji swego korespondenta. Organ piłsudczyków z patosem wykrzykuje: „Zbrodni tej, krwi przelanej winowajcy są znani. Oni to niesłychanem warcholstwem doprowadzili do tego rozpasań agitacji na kresach, że byle śmiełek waży się na organizowanie demonstracji. Ale ta era samowoli się kończy. Wszedła już inna—era kary”.

„Głos Prawdy” jest święcie przekonany, że demonstracje są przywilejem tylko pewnej części ludności, mianowicie piłsudczyków. Istotnie tym wybrańcom losu uchodzą bezkarnie nie tylko demonstracje, lecz i krwawe przewroty...

Wierność zasadom. Poseł Ludwik Chomiński wystąpił z Klubu Pracy z powodu, że Klub chciał go zmusić, wbrew jego przekonaniom, do głosowania za wnioskiem rządowym o wydanie przez Sejm aresztowanych posłów białoruskich sądom. W obecnych czasach rozwielenionego oportunistu i bezideowości postępek posła Chomińskiego przynosi mu zaszczyt i zasługuje na podkreślenie.

Tajemnica emerytury biskupa Bandurskiego. Pisma warszawskie wyjaśniają powód otrzymania przez biskupa Bandurskiego tytułem emerytury w styczniu skromnej kwoty 26 zł. 71 gr. Otóż okazuje, iż wysokość emerytury wynosi w rzeczy samej 605 zł. 83 gr. miesięcznie. W lipca

dzie ub. r. jednakże wypłacono ks. biskupowi przez pomyłkę ponadto 579 zł. 12 gr. Izba Skarbowa w Warszawie ścignęła w dn. 1 stycznia całą tę sumę z emerytury, przypadającej na ten miesiąc i w ten sposób biskup Bandurski otrzymał na styczeń tylko 26 zł. 71 gr.

Przykład do naśladowania. Zgodnie z duchem czasu na uniwersytecie kowieńskim również wynikł zatarg o trupy między studentami chrześcijańskimi, a żydowskimi, analogiczny do zatargu na uniwersytecie wileńskim. Jednakże dzięki taktownej interwencji profesorów tamtejszych Łaszasa i Żylińskiego zatarg został zlikwidowany p. lubownie po wspólnej naradzie studentów medyków Litwinów i Żydów.

Zwołanie Sejmu litewskiego. Rząd litewski postanowił zwołać Sejm na d. 18 lutego. Na posiedzeniu tem ogłoszona będzie deklaracja rządowa, której treść główna poświęcona zostanie polityce zagranicznej Litwy.

Widmo głodu. Na łamach „Słowa” znany apologeta ziemiaństwo p. Michał Obieziński rozpisując się o pomyślnych perspektywach Organizacji Zachowawczej Pracy Państwowej na terenie Dziśnieńszczyzny, jednocześnie w takich ponurych barwach maluje ekonomiczne położenie miejscowej ludności:

„Pólnoc Wileńszczyzny, jak widomy, nawiedził w tym roku nieurodzaj. Dzięki staraniom p. Wojewody Raczkiewicza otrzymała Wileńszczyzna 1750 tysięcy złotych kredytu konsumpcyjnego. Rzecz niebywała i nieznaną dotąd w Wileńszczyźnie. Zorganizowany został zakup i sprzedaż żyta. Będąc w Głębokiem w dniu targowym śledziłem jak się ta sprzedaż odbywa. Sprzedano około 450 pud. żyta w partjach od 3 do 8 pudów. Zapotrzebowanie zaczyna się znaczne, gdyż chłopci to co mieli zjedli i zapasy dobiegają końca. Starosta dziśnieński rozpoczął energiczną akcję dokarmiania dzieci w szkołach powszechnych. Mówmy otwarcie: zbliża się głód, który ogarnie całą Brasławszczyznę, Dziśnieńszczyznę, częściowo północ pow. Święciańskiego i Wilejskiego. Głód nie wskutek braku żyta, które dzięki kredytom sprowadzone zostanie w dostatecznej mierze, lecz głód pieniędzy, których ludność nie posiada dla zakupu żyta. W Głębokiem stwierdziłem, iż pieniądze na zakup żyta pochodzą ze sprzedaży bydła, które masowo ludność wyprzedaje”...

Trzeba być wielkim optymistą, aby przypuszczać, że w tych warunkach propaganda konserwatywnych obszarników będzie miała wśród ludności większe powodzenie, niż agitacja komunistyczna!

Komunikat „Hramady”. W Nr. 3 pisma białoruskiego „Nasz Hołas” ukazał się następujący komunikat „Hramady” p. t. „Wystąpienie przeciwko pos. Wojewódzkiemu”:

„Zbliżona do rządu Piłsudskiego gazeta „Głos Prawdy”, wystąpiła przeciwko posłowi Wojewódzkiemu (przywódcy N. P. Ch.), oskarżając go iż w roku 1923, jeszcze jako członek „Wyzwolenia” był współpracownikiem II oddziału sztabu generalnego, informując go o nastrojach wśród Białorusinów.

Jak wiadomo, pos. Wojewódzki był niegdyś szczerym „piłsudczykiem” i, jako polski oficer, podczas okupacji Mińska, został wyznaczony w skład II-go oddziału (defenzywy). Jednakże po pewnym czasie pracy w Sejmie jako poseł od „Wyzwolenia”, ustosunkował się on krytycznie do programu „Wyzwolenia” i naogół względem piłsudczyków, tworząc wielce radykalną i wrogą rządowi partję „N. P. Ch.”.

W związku z aresztowaniami hromadzkich posłów Wojewódzki zajął wielce opozycyjne stanowisko względem rządu, dzięki czemu, za ostre wystąpienia przeciwko ministrowi Meyszczowiczowi, został wydalony przez marszałka na okres miesiąca z posiedzeń Sejmu.

Wśród stronnictw rządowych istnieje intencja usunąć całkowicie Wojewódzkiego. Pracę jego w II oddziale, chociaż się jej później rzekł, uważają dla posła Sejmu za „hańbiącą”

Treść numeru: Ten trzeci. — P. Kantryba. Znaczenie rządów biskupa Matulewicza w Wilnie. — K. W. Dwa sądy. — Licz. Z mego notatnika. — a. Rara avis. — Ego. Przegląd prasy żydowskiej. — Kronika.